

Życie to cud

O towarzyszeniu mężowi w chorobie, o jego śmierci i o swoim życiu, wreszcie o miłości, która nie umiera nigdy opowiada Iwona Sosińska, żona Piotra Sosińskiego, malarza, zmarłego przed rokiem pacjenta Domowego Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC w Gdańsku.

Magda Małkowska: **Czy pamięta Pani pierwsze godziny po śmierci męża? Świat wokół wciąż trwał, chociaż nie powinien.**

Iwona Sosińska: Nie, nie pamiętam. Myślałam, że nad wszystkim panuję, ale po jakimś czasie okazało się, że mam luki.

M.M.: **Niby wszystko jest pod kontrolą, a potem okazuje się, że brakuje jakichś puzzli.**

I.S.: Wiele zależy od osoby i związku, jaki istniał między ludźmi. Kilkanaście lat temu odszedł mój ojciec. Byliśmy naprawdę w dobrych relacjach, ale szczerze przyznam, że tamtej straty tak bardzo nie odczuwałam. Oczywiście był żal i ból. Przy Piotrze wydarzyło się jednak coś zupełnie innego.

M.M.: **Na co umarł?**

I.S.: Zaczęło się od raka płuc, potem miał przerzuty na kręgosłup, a potem już wszędzie.

M.M.: **Kiedy dowiedzieliście się o chorobie?**

I.S.: Na 18. urodziny córki mąż rzucił palenie i poszedł się prześwietlić. Zdjęcie nic nie wykazało, mimo że już z pewnością wtedy musiał mieć raka. Niestety guz schowany był między kręgosłupem a sercem. Po pół roku nagle dostał krwiotłucia i pojechał do szpitala. Następnego dnia, a może dwa dni później powiedziano nam, że to jest nowotwór, położony blisko tętnicy, więc nieoperowalny. Kiedy Piotr poszedł się ogolić, poproszono mnie jeszcze raz i poinformowano, że mąż może nie przeżyć weekendu. To był dla mnie szok, ale nic mu nie powiedziałam. Jeszcze w szpitalu znowu dostał krwiotłucia i tego samego dnia wieczorem przeszedł operację ratującą życie...

M.M.: **...która się udała.**

I.S.: Tak. To była połowa kwietnia, dwa lata temu, dzień po moich urodzinach. Wszystko wskazywało na to, że na razie sytuacja została w miarę opanowana. Do zimy. W grudniu, po świętach wyszliśmy na spacer. Pamiętam, że był ładny śnieg. Wtedy wróciły bóle kręgosłupa i bardzo się wzmagaly. Tak naprawdę odczuwał je już dużo wcześniej, jednak byliśmy przekonani, że to od malowania obrazów. Zapisał się nawet na rehabilitację, ale nigdy na nią trafił. Wówczas znaleźliśmy się pod opieką dr. Gryniewiczza, anestezjologa.

Piotrowi wykonano scyntyografię i USG, które wykazały, że praktycznie wszystkie organy wewnętrzne ma już zajęte.

M.M.: **Lekarze poddali się bez walki?**

I.S.: Jeszcze walczyli. Dr Mądrzak zdecydował się na kolejną chemioterapię, chociaż nie ukrywał, że sytuacja jest bardzo

Kiedy Piotr poszedł się ogolić, poproszono mnie jeszcze raz i poinformowano, że mąż może nie przeżyć weekendu.



Iwona Sosińska – ostatnie zdjęcie, które zrobił jej mąż

Fot. Piotr Sosiński

trudna. Zresztą w połowie ją przerwał. Okazało się bowiem, że ona nie dość, że nie zatrzymuje choroby, to wręcz przyspiesza jej rozwój. Znowu był kwiecień, Piotrowi zostały wtedy niecałe 3 miesiące życia.

M.M.: **Musiał wówczas już bardzo cierpieć.**

I.S.: Bardzo. Staraliśmy się go przekonać do specjalnego hospicyjnego łóżka, ale Piotr nie był łatwym pacjentem. Uważał, że jak się na nie położy, to już nie wstanie. A bóle miał coraz silniejsze. W którymś momencie przesiedział dwie doby na łóżku, podpierając głowę rękoma i nie pozwalając się ruszać. Skończyło się tak, że na zmianę trzymaliśmy mu głowę i przekonywaliśmy do tego łóżka.

M.M.: Wreszcie dał się ubłagać.

I.S.: Wreszcie się dał. Ucisk guza na kręgosłup spowodował paraliż i właściwie nie było już wyjścia. Już leżąc w łóżku, pozwolił sobie jeszcze zrobić zdjęcia. Mam je, bardzo piękne, z dwudziestego maja. Jest na nich pogodny, uspokojony...

M.M.: Pogodzony?

I.S.: To jest złe określenie, zupełnie nieadekwatne ani do sytuacji pacjenta, ani jego bliskich.

M.M.: W ostatnim etapie choroby z pewnością już wiedział, że to koniec. Kiedy umarła nadzieja?

I.S.: Ona chyba nigdy nie umiera. Piotr zdawał sobie sprawę ze swojego stanu, niczego przed nim nie ukrywaliśmy. Ale jeszcze parę dni przed śmiercią, kiedy kładłam się obok niego na łóżku i płakałam, mówił, żebym przestała i wreszcie nauczyła się pozytywnego stosunku do rzeczywistości. Oczywiście złościłam się, tak jak zresztą przez całe życie, kiedy mi tłumaczył, bym się czymś tam nie martwiła, bo jakoś będzie. Zapewniał, że tak bardzo mnie kocha i tak mocno jest do mnie przywiązany, więc nie może umrzeć. Byliśmy bardzo skupieni na każdym konkretnym dniu i w ogóle się nie zastanawialiśmy, co będzie potem. Tylko czasami, kiedy na przykład wracałam z zakupów do domu, to w samochodzie ryczałam i myślałam, że nie dam rady wysiąść. Docierało wtedy do mnie szaleństwo sytuacji. Potem oczywiście wracałam do domu i wszystko wracało do normy.

Bez Piotra ani nie jest to samo, ani nie jest tak samo.

M.M.: Mąż umarł w zeszłym roku, 8 lipca.

I.S.: Przez 40 minut siedziałam obok niego i patrzyłam, jak konał. Przyznam, że była to najbardziej intymna chwila w moim życiu. Potem już nic nie jest takie samo.

M.M.: W Pani życiu zaczął się nowy etap. Co było w nim najbardziej zaskakujące?

I.S.: Prędko uświadomiłam sobie, że moje przekonanie, iż najgorsze mam za sobą, a teraz będę robić to samo, tylko bez Piotra, było błędne. Bez Piotra ani nie jest to samo, ani nie jest tak samo. Tworzyliśmy dosyć nietypowe małżeństwo i spędzaliśmy ze sobą 24 godziny na dobę. Wychodząc za niego za mąż, byłam bardzo młoda i właściwie już nie pamiętałam życia w pojedynkę. Jeśli mówi się o dwóch połówkach jabłka, to my takimi byliśmy, chociaż oczywiście miewaliśmy trudne chwile. Zawsze czułam, że nasze bycie razem ma sens. Nigdy nie prowadziliśmy dwóch oddzielnych żyć i oto nagle musiałam się nauczyć mówić: „ja...”, „do mnie...”. Dotąd zawsze było: „my”.

M.M.: Musiała sobie Pani wypracować nowy modus vivendi?

I.S.: Po śmierci Piotra zdałam sobie sprawę, że mam dwie możliwości: skoczyć przez okno albo zupełnie normalnie żyć. A Piotr przecież tak bardzo kochał życie. Psycholog z hospicjum podkreślała, że trzymał się go pazurami. Kiedy byłam młodsza, wydawało mi się, że życie to taki ciężki obowiązek, czułam się przytłoczona różnymi obowiązkami, a teraz mnie ono po prostu



„Już leżąc w łóżku, pozwolił sobie jeszcze zrobić zdjęcia...”

cieszy. Po śmierci Piotra potrzebowałam werbalizacji różnych rzeczy. Istotne były rozmowy z wdowcami, chodziłam do kina, czytałam, chociaż trudno było mi się skupić.

M.M.: Michel Houellebecq gdzieś, chyba w „Platformie” napisał, że życie bez czytania jest niebezpieczne, bo trzeba zadowolić się samym życiem, a to niesie ze sobą pewne ryzyko. Woli Pani czasami nie ryzykować?

I.S.: Książki pozwalają zapomnieć, jestem im za to bardzo wdzięczna.

M.M.: Trudno się żyje z własną pamięcią?

I.S.: Ja nie wspominam. Kiedy postanowiłam żyć i to życie celebrować, powstała kwestia, jak umieścić w nim Piotra. Na początku wydawało mi się, że muszę wszystko popakować, zamknąć do szafy, zostawić za sobą. Teraz wiem, że śmierć nie jest wystarczającym powodem, żeby kogoś przestać kochać.

M.M.: Kiedy patrzy Pani na fotografii męża, to widzi je Pani w kontekście jego życia, czy własnego – siebie przez niego osieroconej, pozostawionej? Chociaż „pozostawionej” nie jest tu chyba dobrym słowem...

I.S.: Ależ był moment po jego śmierci, kiedy byłam na niego prawdziwie wściekła. Jak on mógł zachorować i umrzeć! Gdyby ożył, to bym go chyba udusiła. Przypominałam sobie wtedy najtrudniejsze momenty z naszego wspólnego życia...

M.M.: Na usprawiedliwienie swojego stanu ducha.

I.S.: Pewno tak. A do fotografii Piotra nie wracam, nie jątrzę. Zresztą mam obrazy, które dla mnie dużo więcej znaczą. To

jest świat, o którym najmniej mówię, a który nagle też mi znikł. W naszym domu poświęcało się obrazom mnóstwo czasu, bez ustanku o nich rozmawiało. Został w nich kawał naszego życia.

M.M.: A jak jest teraz, dziesięć miesięcy po jego śmierci?

I.S.: Teraz też staram się skupiać na chwili bieżącej. Powoli przesuвам się od punktu A do punktu B. W przeżywaniu straty nie można mówić o linearności. Przeżyte i koniec. Człowiek nigdy się z tym nie godzi.

M.M.: Czy po odejściu męża w relacjach pomiędzy Panią a dziećmi istniała jakaś dynamika? Może był wciąż i jest jeden front?

I.S.: Podczas choroby wszyscy byliśmy ze sobą bardzo blisko.

W ostatnich miesiącach pielęgnacja Piotra była niezwykle absorbująca, wymagała dużo siły i właściwie nieustannego zaangażowania. Byliśmy wszyscy w jednym tyglu i po śmierci

Piotra rozjechaliśmy się, potrzebowaliśmy od siebie odpoczynku.

M.M.: Mielicie wrażenie, że sobie przeszkadzacie?

I.S.: Syn, na co dzień mieszkający w Warszawie, miał wręcz kłopoty z przyjazdem do Gdańska. Stał przed domem i nie mógł do niego wejść. Nasza bliskość kojarzyła nam się z chorobą i śmiercią.

M.M.: Można odejść we śnie, zginąć w wypadku i nawet nie powiedzieć najbliższym „dziękuję”. Ostatnie miesiące choroby Pani męża, okupione jego wielkim cierpieniem, były zarazem kwintesencją Waszego dotychczasowego wspólnego życia.

Cały okres odchodzenia Piotra nie wzbudza we mnie żadnego lęku, a jedynie wielką czułość.



Ręce malarza



Piotr Sosiński

Fot. Mirek Mitogrodzki

I.S.: Teraz wiem, że nie oddałabym żadnego dnia. Chociaż miewałam takie myśli, że może lepiej byłoby, aby Piotr zmarł wtedy w kwietniu, podczas operacji. Ale on sam mówił, że do bólu można się przyzwyczaić. Szczęśliwie nie miał przerzutów do mózgu. Zresztą prosił o takie dawki leków przeciwbólowych, aby nie wpływały na jego świadomość. Przytomność stracił dopiero na ostatnie 40 minut. Czasami wręcz nas oszukiwał, wypluwał tabletki nasenne. Nie chciał umrzeć we śnie.

M.M.: Jak na to reagowaliście?

I.S.: Emocjonalnie. Przecież byliśmy wykończeni, ale to były takie normalne emocje. Nie wstydzę się ich.

M.M.: Mam wrażenie, że Pani chętnie opowiada o tym czasie.

I.S.: Cały okres odchodzenia Piotra nie wzbudza we mnie żadnego lęku, a jedynie wielką czułość. Nigdy bym się go nie wyrzekła. Poza tym mam potrzebę mówienia. Wiele rzeczy musiałam sobie nazwać. Już wiem, że tak naprawdę tylko te osoby, które przeszły doświadczenie straty, mogą mnie zrozumieć. Ono jest niepowtarzalne.

M.M.: Umieranie jest tą najpewniejszą częścią życia.

I.S.: Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam hasło „Hospicjum to też Życie”, zdziwiłam się. Ale to jest bardzo trafne hasło, prawdziwe.

**Poza drugim człowiekiem
potrzeba nam niewiele.
Wszystko inne, jakiegoś kwestie
ekonomiczne, są takie proste.**

M.M.: Czy w hierarchii rzeczy ważnych zaszła u Pani jakaś zmiana?

I.S.: W życiu najważniejsi są ludzie, nie rzeczy. Ta choroba to też potwierdziła. Ludzie pojawiali się na każdym etapie choroby Piotra. Rodzina, przyjaciele, uczniowie. Poza drugim człowiekiem potrzeba nam niewiele. Wszystko inne, jakiegoś kwestie ekonomiczne, są takie proste. Zawsze byłam osobą uporządkowaną, lubiłam mieć plany, teraz są mi one zupełnie niepotrzebne. Na początku było mi strasznie trudno. U nas w domu dużo się rozmawiało, więc kiedy zabrakło Piotra, po pół godzinie samotnej pracy wpadałam w nieciekawy stan. A teraz zaczynam się już czuć dobrze sama ze sobą. Lubię ludzi, nie stronię od nich, zapisałam się na lekcje tanga. Przez 5 lat tańczyłam z córką flamenco, ale śmiejemy się, że już chyba wszystko wytupałam. W ogóle zrobiłam się dla siebie łagodna.

M.M.: Bycie przyjacielem samego siebie dobrze wróży na przyszłość. Jeśli wrócą trudne chwile, to znajdzie się i siła, by je przezwyciężyć.

I.S.: Nie rozczułam się nad sobą i nie chcę, by inni za mnie to robili. Mój temperament nie pozwala mi na wegetację. Skoro żyję, to muszę żyć naprawdę. Muszę być niezależna, podświadomie znajduję sobie dróżki, by nie spadać w dół. Mam świadomość, że to jaka jestem, też w dużej mierze zawdzięczam Piotrowi. On dał mi coś niezwykłego – poczucie własnej wartości. Zawsze byłam przez niego kochana i doceniana. To wyniosłam z tego związku. Mam wspaniałe dzieci. Mam spełnione życie.

M.M.: Może raczej tę część życia...

I.S.: No tak, oczywiście, tę część. Wciąż żyję.

M.M.: Przeżywając stratę, mówi Pani o korzyściach.

I.S.: Ze straty nie ma korzyści, ale czuję się zrealizowana jako żona i matka. Myśmy zdążyli wszystko załatwić. Nie ciągną się za mną żadne wątpliwości.

M.M.: Mąż od bardzo dawna, oprócz tego że był fizycznie, stanowił również część Pani świata. Tam śmierć nie ma dostępu.

I.S.: Nie ma, więc ja z tą miłością nic nie muszę robić. Wiem, że Piotr nie żyje, a jednocześnie wciąż noszę go w sobie. W momencie kiedy zadecydowałam, że zostaję, żyję, dalej jestem, nie pozwalam sobie na marnowanie chwil. Wręcz, niczym jakiś radar, wychwytyuję u znajomych takie marnotrawstwo i się na nich złoścuję. Do pasji doprowadza mnie postawa: „zrobię to jutro”, „za tydzień”, „na emeryturze”. – Możesz nie dożyć – przypominam.

M.M.: Czyli: „Ja nie mogę, a tak bardzo bym chciała. Wy możecie, a tego nie robicie”?

I.S.: Dokładnie tak. I jeszcze jedno. Już niczego nie planuję, nie wyglądam w przyszłość, nie cofam się. Śmierć jest czymś naturalnym, a życie to cud. Trzeba żyć na całego. To jest dla mnie odkrycie. Przestałam się życia bać i teraz jestem spokojniejsza.

Rozmawiała Magda Małkowska